



TRAKTOR KRÓLEWSKI

numer 1 (16)
grudzień 2008

cena 1,00 zł
ISSN 1895-7919

Strzały znikąd

Tutora wersji kilka

Plotka pod Buko-lupą

Tromsø – najpółnocniejsze studia

Za umożliwienie obniżenia ceny dziękujemy ukochanej Pani Profesor.

wstępniak

Ludzkość się raduje, świat się zieleni. Bo oto zakwitł nam jubi-lejusz.

W dodatku po dwóch latach orania Traktu Królewskiego z nowym rokiem rozpoczęliśmy wreszcie nowy etap. Rozpędziliśmy już Traktora na tyle, że proponowane na początku ramy w pędzie tym poodpadały jak szyny z nóg młodego Forresta. Stał się on naturalnym poligonem dla eksplozji coraz to nowych pomysłów i miejscem swobodnej wymiany spostrzeżeń i informacji, by owocować najpiękniejszym, co może nam być dane – spotkaniem.

Wspaniale się akurat złożyło, że rocznicę wyłonienia się z naszej barwnej rzeczywistości pierwszego Traktora uświetniły wystrzały, które odbiły się echem (niestety karykaturalnie powycinanym) w krajowych naszych medykach. Numer ten zdominowała bowiem przygoda Kuby i Rafała, którzy strzelali na dachu m.in. w siebie i w okna wyszarzałego świata. Zebraliśmy jednak kilkanaście stron równie ciekawych tekstów.

Skoro opadł kurz, można go zetrzeć. Uznaliśmy więc, że spokojnie możemy już wybrać się na małą wycieczkę w przeszłość, by pokazać, jak na wykładowców historii podzielał temat „lustracja”. Ponadto pokażemy ciekawych ludzi – orientalistów opowiadających o swoich ulubionych zakątkach, Polkę z japonistyki i Japończyka z polonistyki symetrycznie przepuszczonych przez kwestionariusz Marty Cze, członków Soli Deo, Justynę ze swoją orkiestrą oraz tańczącą Mirelę.

Będzie też wiele o wydarzeniach i miejscach z Traktu, a wśród nich o dokładnie zbadanej przez insp. Buko „Plotce”. Wszystkie te strumienie informacji zrównoważone zostaną natomiast opowieściami zupełnie nowych autorów – Kamila i Naty – oraz tych bardzo starych, którzy wreszcie powrócili, jak Maciek, Oskar i Ania. Ta ostatnia co prawda na sąsiedniej stronie puszcza bańki, ale woli chyba jeździć na nartach, więc na kolejny semestr powtórnie zmyła się do Grenoble.

Gwoździem tego numeru jest natomiast tutor – zjawia rodem z MISH-u, którą Olga i Rafał wspólnie pochwytili, przeanalizowali i usystematyzowali.

Można się dziwić, w zdumieniu twarz krzywić, ale jak widać po dwóch latach opisywania świata Traktu okazał się on studnią niezgłębioną. Zanurzajcie się w nią z nami, dajcie się porwać niezwykłości bycia razem na tej dziwacznej ulicy. Czytajcie i piszcie, drodzy Mieszkańcy Traktu. Ten dwuletni już obłęd trwa po to, by się spotkać.

Naczel

Bijemy dziękczynne pokłony Krzysztofowi Ciborowi, szefowi Stowarzyszenia Etnografów i Antropologów Kultury „Pasaż Antropologiczny”. Dzięki jego otwartości i życzliwości od lutego 2006 r. do listopada 2007 r. było ono wydawcą naszego miesięcznika.



na masce traktora:

Głupota? Fantazja?
W każdym razie nie
jest nudno. Więcej na
rozkładówce!

Traktor Królewski – miesięcznik studentów Traktu

Redaktor Naczelny: Marcin Trepczyński mercyn@o2.pl
Ł a m a n i e: M a c i e k M a t e j e w s k i
W y d a w c a: S t o w a r z y s z e n i e
K w i t n ą c y c h U m y s ł ó w s k u . d o b r z e . o r g
N a k ł ą d: 2 6 0 e g z .

W a r s z a w a – T r a k t K r ó l e w s k i – A D 2 0 0 8



Naczelny Traktorzysta
Marcin Trepczyński
(zoofila i wyjazd do Rzymu)



Kierownik ds. Polerowania Traktora
Zosia Bluszcz
(polonistka i filozofia)



Kierownik ds. Nowych Technologii
Marta Czernomazowicz
(polonistka i kulturoznawstwo)



Mechanik
Maciek Matejewski
(poligrafia)

spis traktorowych części:

kierownica	2
wstępniak; podziękowanie; na masce; Redakcja; stopka; spis części	
przez szyby traktora	3
Co przed nami; Ulica Krokodyli; rozkaz Naczelnika; History Channel;	
reflektorem traktora	3, 10-11
Zdolność bilokacji; Okrakiem (na barykadzie); Faja w ustach (daje prym);	
Unia się wśród nas promuje (za nasze pieniądze)	
gwoździ	4-5
Tutor	
traktor dojedzie wszędzie	6-7
zderzenie z traktorem; Wiśnia zbiera analityków; Na Trakcie w Świąt traktuje; Buko plotkuje	
w lusterku traktora	8-9
o dwóch takich, co strzelali w księżyc	
la gente – mieszkańcy Traktu	11-15
Japolonistka; Soli Deo; Starcie profesorów; Mufmi Mirela; Orient na wschód; niepodłączona orkiestra	
impreza w traktorze	16
Przyjechali milicjanci; Naczel idioecie	
traktor na krańcu świata	12
Jasno, zimno, ciemno – Tromsø	

Mechanik pozdrawia.

Co przed nami

Powroty

Idą ferie. Z północy wrócił Oskar. Gnych z zachodu wróci wkrótce. Milena też już zaraz, z południowego-zachodu. Sama radość! Do końca roku jeszcze poczekamy na Karolinowską i Mareszkę. Ania Godziuk też wróciła, niestety – do swoich zajęć – osierocając Służby Informacyjne Traktora.

Będzie miazga?

Tak już jakoś ma, że na swoje seminarium pt. „Dydaktyka filozofii” zaprasza ludzi, z którymi się nie zgadza. Dr Tomasz Mazur tylko raz wyjątkowo odmówił zaproszenia prof. Jacka Hołówki. Niedawno ugościł zaś prof. Wolniewicza, który na zajęciach tych przede wszystkim zjeżdżał artykuł gospodarza traktujący o nauczaniu filozofii. Wolniewicz pochwalił Mazura, że wszystkie znajdujące się tam tezy są sensowne, gdyż każdej z nich można przypisać wartość logiczną. Mianowicie wszystkie są fałszywe.

W czwartek (10 I) zapraszał natomiast na seminarium dr. hab. Krzysztofa Okopienia, którego zajęć w przeszłości odległej, jak sam powiada, nie znośli. Krzysztof Okopień jak wiadomo do zaciekleń nie należy, lecz gdy widzi, że jest gdzie drążyć, to z radością to robi, a gdy widzi, że głupie, to z właściwą sobie radością powie, że głupie.

Czy i tym razem będzie miazga? Okaże się zapewne w pierwszej (no może w drugiej) środę po feriach. 16.45, sala 14 na KP3.

Ulica Krokodyli – 17 stycznia 2008, godz. 21:00, Klinika, Raclawicka 99

Zespół ponosi ograniczoną odpowiedzialność zbiorową za to, co się wydarzy.



Wielka zapowiedź

Leżąc na rozbabranym wyrze, w jakiejś podłej norze, w najbardziej gejojowej dzielnicy, najbardziej gejojowskiego miasta, gorąco pragnę aby w bezpośredniej wizji (najlepiej o charakterze mistycznym) dany został mi pomysł na ten tekst.

Już w następnym numerze wyćapiemy laserowo gejalny tekst gejalnego twórcy pt. „Madryt jest kobietą”.

Przez nasze gniazdko, które ma cholerne szczęście leżeć na trasie do wspólnej kuchni, cały czas przeprawiają współmieszkańcy. Oczywiście same pedały. [Tutaj drobne wyjaśnienie – Gejowie owo szlachetne starożytne plemię, starsze od Dorów czy Achajów, a biorące swój początek w biblijnej Sodomit, żyjące do tej pory raczej jako diaspora, wybrało sobie bowiem naszą dzielnicę, aby przez zatknięcie na niej tęczowej flagi, uczynić ją swoją stolicą].

Zanurz się w opowieść Rafała Młodzkiego, zrodzoną z madryckich doświadczeń. Kup 17. numer Traktora i czytaj nową „Młodzkiarnię”.

Nie mówię, że nie są mili – zagadują, częstują tym i owym, itd. – są tylko inni. Właściwie to nieodpowiednie słowo, to my jesteśmy inni – przewrotny przedrostek hetero znaczą właśnie inny – i niewątpliwie jesteśmy tutaj mniejszością seksualną.

Te! Teksty pisz! I wysyłaj tu:

mercyn@o2.pl

Przypominamy o wykładach z historii UW:

21 I: „Uniwersyteccy studenci sprzed lat”

12 II: „Uniwersyteckiego żywota niebezpieczne przypadki”

Zdolność bilokacji

czyli to tu i jednocześnie to tam

Coraz bardziej poszukiwana. Wkrótce stanie się istotnym kryterium figurującym w ofertach pracy. Zaraz po wiedzy z zakresu marketingu oraz absolutnie niezbędnych umiejętnościach analizy i syntezy (cokolwiek to wszystko znaczy). Uwaga – zanim zgarną ci sprzed nosa kierownicze stanowisko w szanującej się firmie, lepiej zacznij ćwiczyć już teraz!

To wcale nie są żarty. Zdolność bilokacji przydaje się każdego dnia. Chociażby wtedy, gdy pan Iksiński prowadzi zajęcia dokładnie o tej samej godzinie co pani Igrękowska na drugim końcu kampusu. Dalej – czy nie zdarzyło ci się nigdy tego samego wieczoru być zaproszonym na dwie równie interesujące imprezy? Przychodzisz na jedną, a tu drętwo. Powoli się rozkręca. Jedziesz na tę drugą, a stamtąd wszyscy zaczynają się już zbierać. Weźmy takiego sylwestra. Każdy starannie wylansowany student UW otrzymuje całą pulę zaproszeń. Wiąże się to z dokonywaniem tragicznych wyborów. Z tymi w góry, czy z tamtymi nad morze? W polskich warunkach geograficznych zdolność rozdwojenia jest szczególnie przydatna. Nic gorszego niż w pociągu na Hel zacząć tęsknić za Giewontem.

Skoro uświadomiliśmy już sobie kolejną potrzebę naszych czasów, przejdźmy do krótkiego opisu, jak rozwinąć w sobie zdolności bilokacyjne. Są oczywiście różne poziomy zaawansowania. Studiowanie naraz filozofii i politologii nie jest już w stanie imponować. To zajęcie dla amatorów w interesującej nas dziedzinie. Nie dość, że ten sam budynek, to jeszcze niektóre zajęcia można przepisać. Większe wrażenie robi ciągnięcie filologii klasycznej na UW i inżynierii produkcji na ursynowskim SGGW. Nie każdy jednak jest tak wybitnym bilokatorem. Trzeba od czegoś zacząć. A ćwiczyć można w najbardziej trywialnych sytuacjach. Załóżmy, że jesteśmy akurat u starej, nieco głu-

chej ciotki w odwiedzinach. Telewizor na cały regulator nadaje tvn24, a ciotka opowiada o okupacji. Idealny moment. Skupiamy uwagę i starannie dzielimy słuch na pół. Potem wzrok i wszystkie inne zmysły. W efekcie jedną nogą jesteśmy w Tbilisi i wraz z gruzińską opozycją protestujemy tupiąc przeciw wynikom wyborów. Drugim uchem słyszymy tymczasem strzelaninę na Żoliborzu podczas godziny policyjnej. Świetny trening.

Potrzeba matką wynalazków. Biorąc pod uwagę kreatywność amerykańskich i japońskich naukowców, wkrótce okaże się z pewnością, że zdolność bilokacji leży w zakresie ludzkich możliwości. Powiecie, że to nielogiczne. Nie można być zarazem tu i tam. Ale nie pierwszy już raz rzeczy dzieją się wbrew logice. Skoro o przyjęciu do pracy decyduje znajomość marketingu, dlaczego nie spróbować się i nie dopisać w CV zdolności bilokacyjnych? Brzmii frapująco. Przewidywanie trendów to klucz do sukcesu. A kto wie, może za parę lat obok wydziałów telekomunikacji i zarządzania uda się utworzyć na Politechnice wydział bilokacji? Bądźcie czujni: Omotajcie innych zanim inni omotają was. Taka optymistyczna rada rodem z Gazety Studentekiej.



reflektorem traktora

Ania Maresz
filozofia

Tutor

o MISHowych przewodnikach z urzędu

Zacne y ciekawe opisanie typów wielorakich tutora, z ilustracjami ku ucieście czytelnika zamieszczonemi, bardziej dla konsolacyi iak przestrogi do druku podane.

Tutor Widmo

A czy – skoro ja podpisuję Pani plan – oznacza to, że jestem Pani tutorką? (autentyczna wypowiedź pewnej pani doktor, wygłoszona po roku pełnienia obowiązków tutora)



Tutor o niepewnym statusie ontycznym. Niby jest, ale przeważnie go nie widzisz. Jego rola ogranicza się do podpisywania planu. Właściwie to podpisałby wszystko, co mu podetkniesz, bylebyś swoją obecnością nie zakłócał jego spokoju. Aż dziw, że nikt jeszcze tego nie wykorzystał by podżyrować sobie kredyt.

Taki opiekun wcale nie musi być traktowany jak dopust boży, często mishowiec sam szuka sobie opiekuna, który „nie będzie sprawiał problemów”. Tutor może stać się „Widmem” z woli samego studenta, który, przekonany, że poradzi sobie sam, po prostu go unika lub ze względu na immanentne cechy swojej osobowości. Tutor, który z natury jest „Widmem” może być albo kimś kompletnie niezainteresowanym swoim podopiecznym albo „Wielkim Sławnym Profesorem”. Słyszeliśmy o studencie, który wybrał sobie na opiekuna tak znaną i rozchwytywaną postać, że w celu zdobycia podpisu na karcie rocznej musiał zjechać pół Polski w poszukiwaniu tutora, który codziennie wygłaszał gościnny wykład na innej uczelni.

Tutor Mentor

Disce, puer, disce, disce!



„Tutor Mentor” jest zazwyczaj wybitnym specjalistą w danej dziedzinie, który poważnie podchodzi do swoich obowiązków pedagogicznych. Stawia on wysokie wymagania swoim wychowankom. Gdy przynosisz mu plan do podpisania, analizuje go dogłębnie, po czym jednym tchem wymienia wszystkie książki, które musisz przeczytać, żeby nie narobić mu wstydu na zajęciach.

„Tutor Mentor” wymaga nie tylko znajomości kanonicznych tekstów, ale też samodzielnego myślenia. Rozmawiając z nim czujesz się

Gdy z błyskiem w oku opowiadasz mu o swojej fascynacji dekonstrukcjonizmem, on tylko bawi się swoim piekielnie ostrym nożykiem do rozcinania listów i uśmiecha ironicznie

niemal jak uczestnik seminarium Noici. Zainspirowany przez niego, coraz silniej angażujesz się w pracę naukową, ignorujesz uwagi rodziny o pracoholizmie i przeprowadzasz się ze swojego słonecznego mieszkania na Saskiej Kępie do klitki, która jest wyjątkowo obskurna, ale ma tę zaletę, że znajduje się w sąsiedztwie Biblioteki Narodowej.

Tutor Kumpel

To, co, ja Panu ten plan szybko podpiszę, a potem skoczmy na papierosa?



Przeważnie młody doktor, który nie chce pogodzić się z tym, że studenci widzą w nim człowieka, który stoi „po drugiej stronie barykady”.

„Kumplowość” tutora może mieć różne natężenie. U niektórych objawia się zupełnie niewinnie: przez zainteresowanie nie tylko Twoim rozwojem intelektualnym, ale też samopoczuciem, zadawanie pytań o to, co Ci się nie podoba na uczelni, jakie zajęcia najbardziej lubisz itp. Bardziej zaawansowani „Kumple” zapraszają Cię na kawę, znają imię Twojej dziewczyny, opowiadają Ci plotki o pracownikach uniwersytetu. Stopień wyżej jest przejście na ty i osobiste zwierzenia przy piwie, ewentualnie całonocna gra w brydża.

Hipotetyczny (nie spotkany dotąd w przyrodzie, ale kto wie...?) tutor, w którym „kumplowość” rozwinęła się w pełni chadza ze swoim podopiecznym na podryw, jeździ z nim na obozy survivalowe, zostaje świadkiem na jego ślubie. Zdradza mu najpilniej strzeżone tajemnice uniwersytetu, np. gdzie znajduje się tajne podziemne przejście z BUW-u na Kampus Centralny.

Tutor Ojciec

*Ja w twoim wieku odda-
wałem książki do biblioteki
w terminie!*

Kontroluje, czy zapi-
sałeś się na zajęcia przez
USOS, a także, czy cho-
dzisz schludnie ubrany.
Oficjalnie przedstawiłeś
mu swoją dziewczynę i, ku
Twojej uldze, została zaak-
ceptowana. Od tego czasu
jesteście regularnie zapra-
szani na niedzielne obiady.

Udaje surowego, ma jed-
nak do Ciebie słabość. Lubi się Tobą chwalić. Bardzo chciałby
zabrać Cię na ryby, ale wstydzi się o tym powiedzieć.

Szczególnym rodzajem „Tutora Ojca” jest „Tutor Szukający
Następcy”. Jest to zwykle osoba zajmująca się niezbyt popularną
dziedziną. Wyobraźmy sobie np. profesora, który napisał przed
laty pracę magisterską pt. „Studium XVII-wiecznej francu-
skiej obsesji na punkcie wilków przechodzących przez dziury
w murach miejskich i porywających małe dzieci bawiące się
na ulicach” i temat ten wciągnął go tak bardzo, że postanowił
poświęcić jego zgłębianiu resztę życia. Gdyby pewnego dnia
zgłosił się do niego student wykazujący pewne zainteresowa-
nie lufobią, uczony z pewnością uznałby za swój priorytet
wychowanie go na kontynuatora swego dzieła.

Tutor Samo Zło

Ha, ha, ha... Muahaha! MUAHAHAHAHAHAHA!!!



Gorzej trafić nie mogłeś. Wykładowca, który tak oczaro-
wał Cię głębiami swej erudycji, talentem krasomówczym i urodą
arabskiego szejka, że już po drugich zajęciach pobiegłeś prosić
go o to, aby został Twoim tutorem, okazał się być złem wcielo-
nym. Gdy z błyskiem w oku opowiadasz mu o swojej fascyna-
cji dekonstrukcjonizmem, on tylko bawi się swoim piekielnie
ostrym nożykiem do rozcinania listów i uśmiecha ironicznie.
Co więcej, na następnych ćwiczeniach tak długo zadaje Ci pod-
chwytliwe pytania, aż wreszcie podwinie Ci się noga, a on będzie
mógł to skwitować głośno: „No cóż, widzę, że mój podopieczny
tak zaczytał się w Derridzie, że nie znalazł czasu na przygotowa-
nie się do moich zajęć”. Po pewnym czasie zaczynasz podejrze-

wać, że otwarcie wyśmiewa się z Ciebie przy innych studentach
i pracownikach zakładu. Twoje nazwisko zaczyna być używane
na wydziale jako nazwa jednostki miary głupoty studenckiej.

„Tutor Samo Zło” podszywa się często pod „Tutora Mentora”.
O ile jednak „Tutor Mentor” pragnie Twojego dobra, jedynym
źródłem satysfakcji jego fałszywego odpowiednika jest wytyka-
nie Ci błędów.

Mobbing może przybierać też inne formy. Pewien tutor roz-
mawiając z podopieczną poświęcał jej całą swoją uwagę. Prob-
lem w tym, że studentka miała wrażenie, że uwaga ta koncen-
trowała się nie na jej słowach, tylko na dekolcie.

Większość tutorów łączy w sobie cechy charakterystyczne
dla kilku spośród wyżej opisanych typów (niektórzy badacze
utrzymują, iż każdy zawiera w sobie pierwiastek „Tutora Samo
Zło”). Naturalnym zjawiskiem są sezonowe przemiany tutorów;
zaobserwowano np. że w okresach wzmożonego zapotrzebowa-
nia sekretariatu na dokumenty, prawie każdy tutor zmienia się
w „Tutora Widmo”.

Olga Kołakowska i Rafał Krajzewicz
kulturoznawstwo zmishowane

Zdjęcia: Olga Kołakowska

Pozowali: prof. Andrzej Zakrzewski, dyrektor Instytutu Historii
Prawa WPIa oraz Rafał Krajzewicz (autentyczny tutor i jego pupil)

Tutor – opiekun naukowy studenta MISH-u, do którego
obowiązków należy kierowanie rozwojem zainteresowań
badawczych podopiecznego. Student musi uzyskać jego
podpis na prawie każdym ważnym dokumencie, który chce
złożyć w sekretariacie.

chcesz poznać najnowsze traktowe niusy?
kliknij: [NOWINY](#)

świeżbi Cię, żeby coś skomentować?
kliknij: [MAJDAN](#)

tęsknisz za wcześniejszymi tekstami?
kliknij: [ARCHIWUM](#)

przejdź na dobrą stronę sieci:

traktor.dobrze.org

**TRAKTOR
KRÓLEWSKI**



Zderzenie z traktorem i co z tego wynikło

pierwszy Toksoł, co 13 grudnia Tarabukiem wstrząsnął

Zapytaliśmy kilkoro studentów, którym dobry los pozwolił cieszyć się uczestnictwem w Pierwszym Zderzeniu z Traktorem, o ich opinię na temat tego wydarzenia:

Z jakim kolorem kojarzy ci się pamiętne spotkanie Traktora z drem Szymanisem?

Mikołaj: Z pomarańczowym.

Agnieszka: Z pomarańczowym i czerwonym.

Malinna: Z pomarańczowym i ciepłym.

Jaki gatunek literacki najlepiej oddałby charakter tego spotkania, gdyby chciał je opisać?

Mikołaj: Gawęda.

Agnieszka: Limeryk.

Malinna: Fraszka.

Co najbardziej zaskoczyło cię w opowieściach dra Szymanisa?

Mikołaj: Mrożąca krew w żyłach historia o czaszkach.

Agnieszka: Umiejętność chwytania za słówka.

Malinna: Niewybredny dowcip.



Z jaką inną przyjemną czynnością można by porównać spotkanie z drem Szymanisem?

Mikołaj: Z piciem herbaty imbirowej. Koniecznie w Tarabuku.

Agnieszka: Z oglądaniem telewizji w miękkim fotelu. I z piciem herbaty imbirowej.

Malinna: Z piciem kawy w głębokim fotelu i słuchaniem Mozarta.

Co podobało ci się najbardziej, a czego zabrakło w tym spotkaniu?

Mikołaj: Bardzo ciekawy był moment zaangażowania publiczności. Prowadzący powinni w sposób bardziej zdecydowany moderować dyskusję, nie pozwolić gościowi się rozgawędzić.

Agnieszka: To świetny pomysł, żeby spotkać się poza wydziałem i po ludzku porozmawiać o życiu. Co do tematyki – dobrze byłoby zdecydowanie ukierunkować dyskusję.

Malinna: Jestem zachwycona! Traktor zadziałał jak magnes, poczułam jakąś... więź (?) ze wszystkimi polonistami...

A z kim teraz powinien zderzyć się Traktor?

Mikołaj: Marzyłem o tym przez trzy lata studiów – z drem Stępnem.

Agnieszka: Z drem Stępnem!

Malinna: Muszę pomyśleć... Z Kolankiewiczem. Tak.

A ze Stępnem nie?

Malinna: No co ty... czy to jest w ogóle możliwe?

Dla Traktora nie ma rzeczy niemożliwych. Zwłaszcza, gdy idzie o spełnianie odwiecznych marzeń naszych czytelników.



Magdalena Malińska

Bonum Malum

Wiśnia zbiera analityków

czyli wielki plebiscyt

Gdy podeszł do ciebie z zeszykiem, już cię to nie zaskoczy. To Michał Wiśniewski, który 10 stycznia rano zaczął swoją wielką ankietę w Intytucie Filozofii.

Pomysł ten owładnął Wiśnią właśnie owego ranka. Na najbliższej przerwie przystąpił do dzieła i rozpoczął plebiscyt „12 apostołów filozofii”.



analitycznej”. Idea pochłonęła go bez reszty, i trudno mu się dziwić. Również respondenci, choć może zdziwieni czy rozbawieni pomysłem, udzielają jednak odpowiedzi z powagą. Tutaj nie ma żartów.

Wyniki w następnym numerze.

Naczelnik

Na Trakcie w Świąt trakcie

ciemnawo i smutno

Szkoda, że Ratusz zapomniał, że w minionym roku zmieniły się granice reprezentacyjnego odcinka Traktu Królewskiego.

Już przecież nie tylko Nowy Świat, ale i Krakowskie Przedmieście, na razie co prawda tylko do Królewskiej, zwać się chce półdeptakiem i jako takie zaprasza do spacerów zarówno starych, jak i tych całkiem nowych warszawskich wyjadaczy flâneurstwa, miejskiego snucia się z klasą. Tymczasem świąteczne dekoracje rozbłysły miriadami światełek tylko w tradycyjnym miejscu swego corocznego migotania, czyli na Nowym Świecie, zaś Krakowskie pozostało wielką czarną plamą na świątecznej mapie stolicy. Czyżby KP nie znalazło dla siebie sponsora? Podejrzewam, że niestety nawet go nie szukano. Przez to, nie licząc nadmuchiwanej bałwana przed jednym z lokali usługowych,



jedynym widocznym śladem Świąt w najbliższej Traktorowi okolicy okazało się kilka mizernych choinek przed bramą główną UW, tym bardziej żałosnych, że zrobiono je z iglastych gałązek włożonych w kilkupoziomowe donice, te same, w których jeszcze w październiku rosły kwiatki. Może w grudniu AD 2008 jakiś wspólny projekt świąteczno-dekoracyjny popełnili by studenci UW i ASP? Świąta na Trakcie mogłyby być weselsze.

Inspektor Buko

Ikup Kultowy Pickup

P.S. Pełne wyniki śledztwa w sprawie światła i ciemności na KP ujawnię w następnym numerze Traktora, oczywiście o ile Naczelnik zezwoli.

Inspektor weryfikuje Plotkę

z serii Buko na tropie

Wypadałoby się najpierw przedstawić i uzasadnić swoją obecność, a więc wylegitymować i wylegitymizować siebie. Co czynię bez zbędnej zwłoki: nazywam się Inspektor Buko i będę Waszym nowym dzielnicowym na Trakcie.

Tematem mojego pierwszego raportu z rewiru będzie Cafe Plotka, bo plotki są, jak wiadomo, tym, co każdy inspektor lubi najbardziej. Plotka działa przy KP7 – obok księgarni Prusa, w tej samej kamienicy, w której wiele lat temu mieszkał Ignacy Rzecki (jak oznajmia stosowna tablica, zresztą ku konfuzji polonistów – nieczułych na takie żarciki z fikcji literackiej). Obok jest przystanek autobusowy w kierunku Nowego Świata, wciąż bez miejskiego umeblowania. Ale że nie ma wiaty, to z Plotki jest widok na zrewitalizowane Krakowskie.



Plotkarskie menu jest zróżnicowane. Znajdziemy w nim spory wybór kaw (6–11 PLN), herbatę (niestety tylko z torebki, ale w różnych smakach, 5 PLN), standardowe chłodne napoje, kanapki, zupy, sałatki, pasty, ciastka i bogatą ofertę napojów alkoholowych od piwa (tylko w małych butelkach, 6–10 PLN) po wysublimowane drinki (nieco droższe). Co jednak ciekawe, alkoholu niemal nikt tu nie pije, mimo w miarę przystępnych cen i – zdawałoby się – dobrej lokalizacji na wieczorne zamuły. Fenomen ten zasługuje z pewnością na odrębne śledztwo. W każdym razie większość klientów, których przyszło mi obserwować, zadowalała się najczęściej kawą i czymś do niej. Osobiście gorąco polecam genialne latte z syropem cynamonowym (9 PLN), które stanowi dla mnie absolutne odkrycie tegorocznego kawowego sezonu jesienno-zimowego. Zamówcie też koniecznie wyborne ciastko migdałowo-czekoladowe (6 PLN; trzeba na nie polować, bo cieszy się dużym powodzeniem i „szybko schodzi”), które jest prawdziwym hitem wśród tutejszych smakowitości, a dla zgłodniałych, ze względu na swoją wielkość, może śmiało stać się ekwiwalentem obiadu. Szczególnie przestrzegalbym natomiast przed fraisierem – to małe ciasteczko kosztuje aż 15 złotych i zdecydowanie nie jest warte tej ceny. Uważałbym też na dania obiadowe. O ile na papardelle w sosie śmietanowym z kurczakiem, suszonymi pomidorami i czarnymi oliwkami (18 PLN) warto się czasem szarpnąć, to już carbonarę (17 PLN) zdecydowanie lepiej zjeść o połowę taniej w bufecie w Starym BUW-ie. Bardzo przyzwoita jest natomiast „kanapka” (w istocie dwie kanapki)

z pastą jajeczną i kielkami słonecznika (8 PLN).

Plotka należy do tych coraz rzadziej spotykanych w Warszawie lokali, w których obsługa kelnerska obejmuje nie tylko realizację zamówień, ale też ich zbieranie i „kasowanie”. Siadamy więc przy stoliku, czekamy na karty dań, wybieramy, zamawiamy, konsumujemy – i płacimy na końcu. Podobne zasady były kiedyś oczywistością w gastronomii i panują do dzisiaj np. w Coffee Point w Domu Bez Kantów, ale klubokawiarnie, takie jak Czule, Kafka czy Tarabuk, przyzwyczyły nas do trochę innych reguł i co za tym idzie, trochę innych, bardziej poufalskich, relacji z pracownikami. W Plotce jest bardziej formalnie, można powiedzieć, że obsługa jest raczej „uprzejma” niż „miła”, choć to też zależy od tego, jak często się tu bywa.

Plotka zaczęła żyć własnym plotkarsko-kawiarniarskim życiem kilka tygodni temu. Niestety, wciąż jakoś nie może wydobyć się z odmętów fazy rozruchowej. Nadal nie wyregulowano klimatyzacji i zazwyczaj w lokalu jest piekielnie gorąco, na zamówienia czeka się dość długo (czyżby brak „wypracowanych procedur” w kuchni?), czasem obsłudze brakuje pieniędzy do wydawania reszty, a karta dań przyniesiona do stolika wciąż nie zawiera niektórych pozycji menu, o które trzeba się specjalnie dopytywać – np. nie znajdziemy w karcie wzmianki o jakichkolwiek deserach, czy choćby o herbacie.

Mimo to Plotka pomalutku wypracowuje już grupę swoich stałych klientów, którym odpowiada szczególna atmosfera tego miejsca. Utrzymane w brązach, czerwieniach i beżach nowoczesne wnętrza

z eklektycznym barem (czerwone figurki koni obok butelek alkoholu, lada chłodnicza pełna ciastek, napojów i cytrusów) przyciąga do Plotki nie tylko studentów dwóch pobliskich uczelni, ale też osoby w średnim wieku, a nawet emerytów (może przed wojną też była tu kawiarnia i przychodzą siłą przyzwyczajenia?). Magnesem miejsca jest antresola dla palących, gdzie oczywiście nie trzeba palić, za to można rozsiąść się na wygodnych kanapach i obserwować z góry lokal i pośpieszny świat za szybami kawiarni. A gdy spojrzysz pod odpowiednim kątem na blat swojego stolika, zobaczysz całą galaktykę... O każdej porze dnia jest tu czysto i schludnie, za to

zmienia się natężenie sztucznego oświetlenia (wieczorami główne reflektory sufitowe są wyłączane i robi się bardziej kameralnie), spokojna muzyka jest przyjemnym tłem dla prowadzonych tu plotkowań. Wkrótce Plotka upora się pewnie ze swoimi zmorami świeżootwartości, a wtedy stanie się bezapelacyjnie idealnym miejscem na romantyczne przesłuchania w długie zimowe wieczory.

insp. Buko

czyli Łukasz Bukowiecki

Cafe Plotka

- Krakowskie Przedmieście 7
- godziny otwarcia w dniu oddania materiału do druku (już kilka razy się zmieniły): poniedziałek–sobota 10.00–22.00, niedziela 10.00–20.00
- można płacić kartą
- można wziąć kawę na wynos
- nie ma zniżek dla studentów, ale stali bywalcy mogą liczyć na specjalne traktowanie
- nie ma książek, nawet „Lalki”



Strzały znikąd

a tak naprawdę to z dachu

To była noc przesilenia. NadKuba i NadRafał strzelali ze szczytu Warszawy potęgą herosów, a stali się bohaterami m.in. rubryczki w Rzepie, porannej informacji w tvn24 i profesorskiej aluzji na polibudskim wykładzie przy okazji zadania o rzucie ukośnym – padli ofiarą tryumfującej chwilowo małości.



Czasami wydaje mi się, że ludzie rzeczywiście podlegają wstecznej ewolucji.

Prawdopodobnie to, co zrobili Kuba i Rafał plasuje ich mniej więcej w pierwszej... dwudziestce nagród Darwina (jasne: wiem, że przyznaje się je tylko w wypadku śmierci, ale od czego mamy sytuacje hipotetyczne, dlaczego nie posłużyć się tymczasowym zawieszeniem sądu i nie zaproponować jednak naszym kolegom tego szczególnego wyróżnienia?). Oczywiście rozumiem, że chodziło im przecież tylko o to, aby w należyty sposób uświetnić urodziny Rafała. Liczy się fantazja, liczy się polot, liczy się rozmach. Tyle, że nie każdy zgodzi się, że strzelanie z dachu do okien jest fantazyjne (albo pełne polotu... Na upartego pewnie można by odnaleźć w tym nieco rozmachu, ale to raczej mierzone by było siłą odrzutu śrutu). Ostatecznie nikomu nie stała się krzywda (oprócz tych kilku zadrapań, gdy nasi drodzy koledzy testowali moc pistoletu strzelając do siebie z trzech metrów), osiemnastogodzinny areszt był (i będzie, co opowiadać znajomym przy piwie), zadośćuczyniono tym, którzy wtedy znajdowali się po drugiej stronie barykad (znaczy: okna) i właściwie to koniec tej historii. Happy end pełną gębą, prosto z Bollywood. Mogę jednak szczerze zaświadczyć (i niech pojawi się to może w ramach morału), że będę trzymać kciuki za jedno z dwojga (jeszcze nie zdecydowałam, które zapewni mi strategię wygrywającą): żeby Kuba i Rafał następnym razem choć przez chwilę zastanowili się przed wykonaniem kolejnego planu, albo (to mój faworyt) aby następnym razem, w magiczny sposób, nie weszła w ich pole widzenia żadna broń palna czy biała.

La Gatta



Okiem prawnika

Następnego dnia po południu Kuby i Rafałowi przedstawiono zarzut uszkodzenia mienia na podstawie art. 288 § 1 kk, za co grozi kara pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat. To lekka przesada, bo uszkodzenie polegało na pęknięciu zewnętrznej części szyby, więc był to raczej tzw. „przypadek mniejszej wagi”, za który § 2 przewiduje najwyżej rok więzienia. Ale wiadomo, trzeba było chłopców postraszyć. Podobno zaproponowano im skazanie bez rozprawy na 2 lata w zawieszeniu w ramach ugody z prokuratorem, który w akcie oskarżenia może umieścić wniosek o skazanie bez rozprawy (art. 335 kpk), a dzięki temu sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary (art. 343 kpk), jakim byłyby te 2 lata w zawiasach.

Obaj zgodzili się. Skorzystali jednak z faktu, że uszkodzenie mienia ścigane jest na wniosek, więc jeśli prokurator się zgodzi, pokrzywdzeni mogą ten wniosek wycofać (art. 12 § 3 kpk). Dogałali się więc z sąsiadami Kuby i zobowiązali się do zadośćuczynienia i naprawienia szkody, by wniosek został cofnięty.

Nie powinni mieć już powodów do obaw. Szczęście, że nie odstrzelili nikomu jąder (art. 156 kk) albo że linii strzałów nie przeciął żaden transwestyta, który poczułby się narażony na niebezpieczeństwo ciężkiego uszczerbku na swym delikatnym zdrowiu lub nawet utraty swego niebanalnego życia (art. 160 kk), choć pewnie byłby tym mile podlechany.

mgr Trepczyński





W związku z serią kłamliwych publikacyjek, która ostatnio przewaliła się przez rubryki 997 wszystkich szmatławych gazet niby-to-zdających-relację z tego, jak były obchodzone nasze urodziny i która to seria

997

poza obrażaniem bycia samym swoim zaistnieniem była mniej niż gówno warta, postanowiliśmy z kolegą Sadowskim, będąc głęboko przekonani, że czytelnik, jaki by nie był, jednak na tak krańcową sikowatość nie zasługuje, kilka rzeczy sprostować¹.

Najbardziej przynębiający w tej całej pisaninie był charakterystyczny² mix łgarstwa, nieścisłości i niesłychanego wręcz spłylenia sprawy. Umieszczenie w pięciu zdaniach sześciu kłamstw, siedmiu nieścisłości i przynajmniej trzech automatycznych point w stylu „młodzieńców zatrzymała policja... obaj byli pijani” czy „strzelali do kurków na dachu... a trafili w okna sąsiadów”, jest dowodem braku rzetelności, znużenia i tępoty redaktorów tych wszystkich gazetek. Nazywanie spontanicznej radości życia, co tak się raduje, że aż na dachy wychodzi, „pijackimi wybrykami”, zgrabnego światopoglądu „nieodpowiedzialnością”, a ułańskiej fantazji „głupotą”, to kolejne dowody świadczące o umysłowej ograniczoności. Rozumiemy, że gazeta musi być na tyle płaska, żeby ją było łatwo do szczurowatej teczki włożyć, przy tym na tyle wąska, żeby bezboleśnie dała się wepchnąć do najbardziej tępej główki przez jej wąziutki horyzoncik, tak skondensowana, by każdy dureń miał wrażenie, że bez znużenia ogarnia bógwie-jakie-światła i na dodatek na tyle tania, by nie przepłacić jej tymi 3 złotymi, ale na litość boską – bez przesady!

Drobny background: zupełnie nagle – po jakichś nieprawdopodobnych wręcz zbiegach okoliczności, w które nikt zdaje się nam nie uwierzył, a które są świętą prawdą – znaleźliśmy się w radosnych nastrojach, z bronią, śrubokrętami, zapasem amunicji i – nie wiadomo po co – skórzanym pasem w rękę, na dachu, z którego rozciągał się wspaniały widok na zachodnią część miasta...

Po takich wstępach przychodzi miejsce na część właściwą tego tekstu, czyli lekcję pisania notki do rubryki 997. Niech się durnie uczą, jak do gazetki pisać... Wzorcową notkę powinna wyglądać dokładnie tak:

„Rodion Romanowicz R. (25 l.) i jego przyjaciel Lew Nikolajewicz M. (22 l.), pierwszy z nadmiaru woli mocy, drugi z nadmiaru miłości do dzieci, co jest ponoć mniej więcej jednym i tym samym, pełni ducha [animus et spiritus] i tego, co nie-każdy-może-mieć, radując się swoim wnętrzem, postanowili w grudniową noc wspiąć się z gracją na szczyt Woli i Ochoty, by tam, niczym młode bogi, nagiąć rzeczywistość do swojej aksjologii w stopniu, jaki uznają za stosowny. Pierwszy strzelał w niebo, by dobić konających bogów, zgasić gwiazdy³, a potem także trochę na boki, by pogasić i inne światła, zwłaszcza te nędzne a prowokujące gdzieś w dole mrygające, mając przy tym rzeczy za zabawki, a siebie za dziecię-ajon Heraklita. Strzelił też z raz czy dwa do swego towarzysza, by takim przewartościowaniem duchowo go poranić i ubogacić zarazem, tamten jednak, pełen miłości, przebaczał mu od razu, darując mu czas do przemyśleń. Drugi z całą miłością, na jaką go było stać, a miał jej aż za wiele, również strzelał w niebo, ale z odwrotnym zamiarem – po to, by jak najbardziej podziurawić czarną zaslonę nocy, dając ludzkości więcej światła, jakiegos metafizycznego, bo spoza czasoprzestrzeni, której granicę noc właśnie stanowi⁴. Strzelał także na boki, by ludzkości zamkniętej w ciasnych betonowych sześcianikach podarować choć trochę świeżego grudniowego powietrza. A także na dół, by mrugające światełka rozbłysły jeszcze bardziej w iskrach jego kul ku ucieście dzieci. I strzelaliby tak pewnie do kresu nocy, gdyby karły niewolniczego par excellence resentymetu, co nie mogą tolerować tego, co jest od nich inne albo chociaż nieporównanie lepsze, przy pomocy swego prawa i liczebnej przewagi, nie zjawiły się pod postacią policji i nie wzgardzając darem, strąciły ich na sam dół. Obaj młodzieńcy byli oczywiście trzeźwi. Tak szczegółową relację mamy, ponieważ mamy znajomych w policji i nie do końca oficjalnie możemy czytać zeznania, protokoły, itd. i wybierać co ciekawsze. Autor: rerere”

I tu trzeba urwać, gdyż zmuszeni byśmy byli rozpocząć zupełnie nową rzecz i na dodatek barwniejszą i ciekawszą. Historia z dachem, było to bowiem zaledwie preludium, bilet wstępu na imprezę, która zaczęła się na komendzie⁵. O tym, że zabawa była przednia, świadczy okoliczność, że trwała jakieś 20 godzin... Po takiej imprezie, oprócz licznych znajomości z obu stron Porządku (po gębach trudno było na pierwszy rzut oka rozróżnić; chciałoby się ich wszystkich tutaj pozdrowić, ale nie sposób wszystkich wymienić), jest się tak ubogaczonym w taką ilość nowych słów i zwrotów z przeróżnych dziedzin oraz całą masę historyjek o policjantach, chińczykach, dresikach, kurwach, stałych bywalcach aresztu, itd., że na następnych imieninach u cioci będzie można znowu naprawdę błysnąć.

Rafał Młodzki

1 Oczywiście żadna z tych szmatławych gazetek nie chciała sprostowania opublikować.

2 Nie dotyczy to bowiem tylko tego jednostkowego przypadku – każdy porządny człowiek, który miał wątpliwą przyjemność bycia obiektem zainteresowania [m]assmediów, chętnie się z nami zgodzi.

3 Strzelał też do księżycy, by porobić w nim dziury, tak by największy sceptyk i ultranowoczesny teolog, współczesny jezuita pełną gębą, niejaki Piotr Rosół, miał argument za tym, że księżyc zrobiony jest ze szwajcarskiego sera.

4 Po takich strzelaniach obu przyjaciół, liczba gwiazd znowu się zgadzała i nikt żadnej afery później o to nie robił.

5 Nomen omen komenda przy ulicy Żytniej...

Okrakiem

na barykadzie

Wśród wielu mniej i bardziej interesujących dysonansów swojej codzienności jeden zastanawia mnie niezmiennie od kilku lat: dziwna bariera pomiędzy niektórymi wydziałami.



Legendarna jest na przykład rywalizacja pomiędzy socjologią na Karowej i Instytutem Stosowanych Nauk Społecznych na Nowym Świecie. Któregoś razu mój kolega niestrudzenie zagadywał jakąś dziewczynę przy barze. Lekko się nachylając, mówił do niej cicho, radiowo obniżając głos. W pewnym momencie wyprostował się i głośno zaprotestował: „Nie! Studiuję na ISNS, to na Karowej to nie prawdziwa socjologia!” Skoro znam te i inne historie, to nie powinno już mnie dzi-

wić, że pomiędzy niektórymi wydziałami toczą się *ciche wojny*. Mimo to nie mogę w dalszym ciągu znieść jednej, wyjątkowo absurdalnej, a trwającej już długie lata – tej pomiędzy naukami politycznymi a filozofią.

W odległości jednego piętra od siebie istnieją dwa różne światy – trafić chciał, że jestem gdzieś na granicy. Albo lepiej – sam tego chciałem. Kiedy nauki pojawiły się na Uniwersytecie, filozofia straciła sporo przestrzeni i przestała być jedynym gospodarzem odrapanego budynku przy Krakowskim 3. Co więcej, sama szybko znalazła się na nieformalnym indeksie Partii, za to nauki szybko zyskały status hołubionego pupila. Zawiniona, niezawiniona – uraza pozostała u niektórych do dziś. Nie zapomnę, jak na pierwszym roku filozofii, w ciągu

Kolega, przyglądając się
mojemu kolokwium z ontologii,
podsumował: „ale gówno”

pierwszych dwóch
tygodni studiów,
cztery razy różni
wykładowcy przy róż-
nych okazjach rzucali

mimochodem uwagi w stylu: „My tutaj na filozofii nie zastanawiamy się nad takimi głupstwami. Zostawmy to politologom z parteru.” Szybko zrozumiałem, że dla filozofów nauki polityczne to miejsce zbiorowego tracenia czasu przez studentów i profesorów, w którym zamiast koncentrować się na *istocie rzeczy*, mowa jest o tak wulgarnych zjawiskach jak partie polityczne i struktura rządu. Adepti tej pseudosztuki nie mają nic wspólnego z humanistyką, interesuje ich tylko przyszła kariera partyjnych speców od manipulacji i wizerunku. W oczach wielu moich znajomych z pierwszego piętra studenci politologii to nic więcej niż gęsty tłum konsumentów, technologów politycznych. Z kolei według studentów z *dółu* filozof to dziwak lubiący towarzystwo bijących pseudointelektualną pianę społecznych odszczepieńców, którzy zastanawiają się nad tym, czy istnieją takie absurdalne rzeczy jak zbiory puste, dane zmysłowe, światy możliwe, choć nieistniejące. Taki to na pewno nie pójdzie z tobą na „Godzillę”, nie pogada o sporcie... Najbardziej chyba popularnemu wśród politologów zdaniu o tym, czym się zajmują *tamci na filozofii*, dał wyraz kolega, który przyglądając się mojemu kolokwium z ontologii podsumował: „ale gówno”.

Jak każda bajeczka, i ta powinna mieć jakiś morał. Dość już wniosków na temat krzywdzących stereotypów, niesprawiedliwych uogólnień i tłumaczenia: tak wcale nie jest. Te wzajemne kąśliwe uwagi stały się już chyba tradycją na Krakowskim Przedmieściu, nie ma sensu ich prostować. I mają przynajmniej jedną ważną dla obu stron funkcję: pozwalają się odróżnić, spojrzeć na siebie z zadowoleniem i poczuć się wyjątkowo.

Maciek Sadowski
politologia i filozofia

Faja w ustach

daje prym

Ludzkość można czasem łatwo podzielić: np. na tych, którzy flaki zjeść lubią, i pozostałych, którzy się nimi brzydzą.

Podobnie jeśli chodzi o futbol – niektórzy uważają grę naszej reprezentacji za wirtuozerkę, inni natomiast widzą pewne mankamenty w boiskowych poczynaniach polskich orłów. Tak samo ma się rzecz z paleniem. To aporema, kwestia dopuszczająca przeciwstawne rozwiązania. Wobec tej palącej sprawy nie można pozostać obojętnym. Fakt jest faktem.

Wzbudzają mój podziw studenci naszego instytutu, którzy wystawiają się na deszcz i słońce, wichurę i siarczysty mróz, by złapać odrobinę dymu. Czasami z desperacji niektórzy wciskają się za drzwi wejściowe budynku i gnieżdżą się w ciasnym korytarzu między wchodzącymi i wychodzącymi. Ale to mięczaki: prawdziwy palacz nie chowa się po kątach, lecz z dumą obnosi swój nałóg. Ponadto prawdziwy palacz nie zniósłby łajania pani z akwarium.

Być może jednak jest czego zazdrościć. To hermetyczna komitywa, porozumienie na wyższym poziomie. Znajomości zawierane na całe życie. Dla niewtajemniczonych to zwykły kopeć, dla oświeconych – pet, szlug, fajrant, ...

W każdym razie trzeba się znać. Raz przywiozłem kumpłowi paczkę lepszych fajek z zagranicy, takie 2 w 1. Dobre, powiedział, ale nieprzystosowane, za długie na przerwę.

Dziś – niebiosom niech będą dzięki – przyświeca słońeczko, a rześka bryza od Wisły delikatnie muska nam buzie. Strach pomyśleć, co będzie, kiedy wróci zima. Przechodniu! Okryj kocem, pochuchaj w zmarzniete dłonie, osłoń parasolem: los mógł trafić na ciebie!



Kamil Wielecki
filozofia

Europa, Europa...

chce się lubić

– Czy chciałaby pani polecieć w poniedziałek do Brukseli?
– redaktor naczelny Tygodnika Solidarność zadzwonił nagle,
gdy akurat stałam na drabinie i zdzierałam stare tapety w korytarzu mojego nowego mieszkania. – Na konferencję o kształtowaniu komunikacji między Unią Europejską a społeczeństwem obywatelskim – sprecyzował. – Bruksela, samolotem? – prze-myka mi przez głowę – Tak! – odpowiadam szybko, zdecydowanie, bojąc się, że mój rozmówca nagle się rozmyśli i z wyprawy nici.

Po raz pierwszy w życiu nie będę lecieć tanimi liniami, ale klasą ekonomiczną państwowego przewoźnika. O wiele bardziej emocjonujące jest to, że niedzielną noc spędzę w hotelu Renaissance Mariott (konferencja rozpoczyna się zbyt wcześnie, żeby poranny przelot był komfortowy)! Wnętrza pięciogwiazdkowych hoteli znalazłam do tej pory jedynie z amerykańskich filmów.



Ciekawe jak duży obszar można objąć wzrokiem z wysokości 11 kilometrów, na jakiej lecimy? Stewarda też nie wie, ale ponieważ stwierdza bez mrugnięcia okiem, że długość Polski to 40 tysięcy kilometrów, więc i tak prawdziwość jej odpowiedzi byłaby wysoce wątpliwa. W skrócie: LOT niewiele się różni od tanich linii, porcja kurczaka z ryżem i brokułami oraz kubek pomidorowego soku to chyba zbyt słaby argument, żeby płacić ▶

Japolonistyka

czyli filolodzy w negatywie

Paulina Panek z Legnicy – Polka, studiuje japonistykę

1. Dlaczego język japoński?

Dlatego że jest piękny, słodki, miękki, dźwięczny i ładnie komponuje się z muzyką w piosenkach.

2. ...w Japonii i japońskości:

a) Co ci się najbardziej podoba?

Kimona, sushi, gejsze, sumo i kwitnące wiśnie.

b) Co cię najbardziej dziwi?

Niesamowita punktualność. W Polsce to nie do pomyślenia!

c) Co cię najbardziej wkurza?

Że jedzą pałeczkami, do dziś nie mogę się tego nauczyć.

3. Ulubione słowo japońskie?

„Moshi moshi” przy odbieraniu telefonu.

4. Ulubione polskie słowo?

*[cenzura]

5. Czego Ci brakuje w Japonii i Japończykach (w porównaniu z Polską i Polakami)?

Zakochani nie całują się publicznie (podobno). Sprawdzę, jak pojedzie kiedyś do Japonii.



Asuka Matsumoto z Osaki – Japończyk, studiuje polonistykę

1. Dlaczego język polski?

Bo to jest język Chopina, którego muzyka gra od mojego dzieciństwa i to najważniejszy język słowiański w UE, który jest bardzo mało studiowany w Japonii.

2. ...w Polsce i w polskości:

a) Co ci się najbardziej podoba?

Gościnność, wielka ciekawość, otwartość. A w języku ładna melodia mimo trudności w wymowie i aspekt czasownikowy.

b) Co cię najbardziej dziwi?

Dużo piją!

c) Co cię najbardziej wkurza?

Czasem zmuszają mnie do picia wódki, mimo że jestem już pijany. Coraz bardziej będę!

3. Ulubione polskie słowo?

No, no. Kurczę! (z tym -czę zamiast -wa) i słowa zdrobniałe z -tki i -ówka.

4. Ulubione japońskie słowo?

„Dai jo bu?” (dajziobu), to znaczy „wszystko w porządku?”, ale ma więcej funkcji.

5. Czego Ci brakuje w Polsce i w Polakach (w porównaniu z Japonią i Japończykami)?

W Polsce: małe wynagrodzenie dla naukowców, w Polakach: brak uprzedzającej grzeczności (co Asuka tłumaczy tak: Polacy mówią swoim bliskim to, co myślą, i nie zastanawiają się nad konsekwencją swoich słów. Japończycy są bardziej grzeczni i ważą każde słowo).



CzeMarta

► jakieś 1500 złotych więcej (powrót jeden dzień po wylocie to najdroższa opcja z możliwych).

Bruxelle Luxembourg, to tu! Plac przed samym Parlamentem. Nad głową futurystyczne bryły architektoniczne, przede mną rozkopane, ogrodzone chodniki. Trochę jak w zepsutej stacji kosmicznej. Ku mojej wielkiej uldze hotel znajduje się rzut beretem stąd. Na jego widok nie mogę powstrzymać uśmiechu. Jeśli istnieje coś takiego jak stereotyp pięciogwiazdkowego hotelu, to Renaissance jest jego ucieleśnieniem.

Starałam się wyglądać jak najbardziej poprawnie, ale pewnie nieczęsto wpadają tu w środku nocy dziewczyny z wyświechtanymi plecakami turystycznymi na plecach. Uśmiechy panów robią się jeszcze mniej szczerze, gdy radośnie przyznają, że pierwszy raz jestem w takim miejscu i nie mam karty kredytowej tylko zwykłą płatniczą. Chyba popełniłam błąd. Następnym razem przedstawię się jako dziennikarka z Warszawy, zaproszona na konferencję przez Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny (tzw. ECOSOC). I może jeszcze dodam perfidnie: „Mam nadzieję, że Carlson Wagonlit nie zapomniął zarezerwować mi pokoju?”.

Na śniadanie rozkoszuję się wielką ilością obranych ze skórek cząstek grejpfruta. Ciekawe, jak musi się czuć człowiek, którego zajęciem jest wykonywanie tak zbędnej czynności. Czas jednak płynie zbyt szybko, muszę pędzić na konferencję. Rozglądam się po drodze jak mogę – po konferencji będę musiała gnać z powrotem na lotnisko i jedyne co zobaczę z Brukseli to właśnie ten niecały kilometr między hotelem a siedzibą ECOSOCu.

Tematem konferencji jest problem komunikacji – czy też jej braku – na linii Unia-społeczeństwo. Jest nas około 150 osób, w większości

dziennikarzy, członków różnego rodzaju stowarzyszeń pracowniczych i organizacji pozarządowych. Temat wydaje się ważny, obrady są ciekawe. Opuszczam to miejsce z silnym przekonaniem, że za mało mówi i pisze się o Unii, a przecież nie jest to tylko jakiś odległy twór administracyjny, ale także siła, która w aktywny sposób kształtuje naszą polską rzeczywistość. W przerwach jesteśmy raczeni dobrą kawą i sokami, a na lunch jest nawet sarnina (o czymś tak banalnym jak krewetki i sałatka z melona pewnie nie warto wspominać).

Opuszczam Brukselę pełna nowych wrażeń i myśli. Nie żałuję, że urwałam się z zajęć na uczelni, żeby tu przyjechać. Pewnie nieprędko znów będę miała okazję skoczyć sobie na jeden dzień do Belgii.

Ile kosztowało moje 27 godzin podróżowania w europejskiej sprawie? Lot Lotem z wylotem w niedzielę i z powrotem w poniedziałek to wydatek rzędu 2522 PLN. W hotelu znalazłam informację, że noc w pokoju kosztuje 499 euro, a śniadanie 20 euro, jednak jeśli chcemy zarezerwować pokój przez Internet, będzie to nasz kosztowało znacznie mniej, bo 838 zł. Jedzenie podczas konferencji – liczymy, że to jakieś 50 euro od osoby. Mamy więc razem ładną sumę 3.560 zł, która z pewnością nie obejmuje całości wydatków. Nawet jeśli na wszystkie te rzeczy uzyskano sporą zniżkę rzędu nawet 40% ze względu na liczbę uczestników, to zostaje nam nadal 2.136 zł. Student w Warszawie może przeżyć za to 2 miesiące. Koszty zorganizowania całej konferencji musiały więc przekroczyć 300 tys. zł.

Niech każdy sam wyciągnie z tego wnioski, jakie uważa za słuszne.

Nata Grzywańska
filozofia

Soli Deo

z czym to się je (i czy jest słone)?

Dawno, dawno temu, w roku 89-tym, grupa studentów UW, SGH i Politechniki założyła Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej. Powstały z niego dwa stowarzyszenia: SKMA działające przy kościele św. Anny i Soli Deo. Tyle historii. Resztę opowie Justyna Ołdak.



Co to takiego jest to Soli Deo?

Soli Deo to organizacja studencka, która zrzesza studentów z różnych uczelni warszawskich. Mamy 9 kół terenowych na wszystkich ważnych uczelniach w Warszawie – na UW, Politechnice, SGGW, SGH, Akademii Medycznej i UKSW, a także na niektórych uczelniach prywatnych. Myślę, że jest to organizacja dla ludzi, którzy chcą działać. Takich, którzy żyją wiarą i chcą się nią dzielić. Wiele osób prywatnie uczestniczy w różnych wspólnotach, a Soli Deo jest dla nich okazją, żeby działać.

Czyli nie jest to grupa modlitewna? Tak mówi większość osób, które słyszą nazwę Soli Deo.

Nie, zdecydowanie nie jest to grupa modlitewna. Nasza działalność opiera się na realizowaniu różnych projektów. Owszem, na

uczelniach organizujemy też rekolekcje.

Z czego jeszcze słynie SD?

Najważniejsze jest chyba Laboratorium Miłości. Organizujemy je już trzeci raz.

Laboratorium? Brzmi hmm... nietypowo!

Spotykamy się i rozmawiamy o miłości, seksualności, budowaniu relacji.

Staramy się zapraszać ciekawych gości, zarówno osoby duchowne, np. księdza Pawlukiewicza, jak i świeckie, m.in.

dra Szymona Grzelaka, psychologa. Tematyka spotkań w dużej mierze dotyczy realizowania wartości chrześcijańskich. Prelegenci starają się naukowo wyjaśnić trudne kwestie, np. jak od strony psychologicznej kształtują się relacje w związkach. Inną gałęzią Soli Deo

jest wolontariat. Pomagamy w domach dziecka, w hospicjach, w świetlicach terapeutycznych... I, oczywiście, raz w tygodniu mamy spotkania dyskusyjne.

Kiedyś, o ile pamiętam, były na historii...

Teraz przenieśliśmy się na matematykę. Często mówimy o tym, jak na co dzień kierować się wartościami chrześcijańskimi np. na uczelni, nie tworząc przy tym fałszywego obrazu katolika. Ostatnio zastanawialiśmy się wspólnie, czemu ludzie odchodzą od Kościoła, bo kojarzą go wyłącznie z moherowymi beretami i jak my możemy to zmienić.

To dla ducha. A dla ciała?

Organizujemy też bardzo dużo imprez, na które zapraszamy każdego. Ale mamy jedną zasadę: na imprezach nie pijemy alkoholu. Tak samo zresztą na obozach zerowych.

I ludzie się nie dziwią?

Widzisz, właśnie to przyciąga studentów na nasze obozy – to, że są bezalkoholowe. Nie każdy ma ochotę jechać na typowy obóz, gdzie większość przesadza z piciem. Dla



Justyna lubi piosenkę Ezo-
teryczny Poznań, nie lubi
marznąć na Okęciu

tego ja sama wybrałam obóz SD. Miałam nadzieję, że na obozie znajdę osoby, które cenią podobne wartości co ja. Poznałam mnóstwo młodych, fantastycznych ludzi. Mamy podobny światopogląd, możemy porozmawiać o wielu różnych rzeczach, ale

też wyjść do klubu, bawić się... Ja swoją przygodę z SD zaczęłam od obozu zerowego, potem były imprezy, spotkania towarzyskie.

W końcu przyszedł na jedno ze spotkań organizacyjnych i zostałam najpierw członkiem SD, a potem **prezesem** koła na UW. Teraz prezesem jest Piotrek Dittwald.

Kiedy opowiadam znajomym, mówią, że uczestnicy tych obozów „nic tylko się modlą”. A tak przecież nie jest.

Obóz to nie rekolekcje. Przede wszystkim jedziemy tam tylko my – nie ma żadnych wychowawców ani księży. Dla tych, którzy chcą się bardziej rozwijać duchowo, Soli Deo organizuje rekolekcje wyjazdowe.

Kto może należeć do SD?

Każdy, kto jest studentem. To jedyny warunek. Dajemy okazję do nawiązania nowych kontaktów, przyjaźni. Poznało się też u nas mnóstwo par, były śluby. SD to świetne miejsce, gdzie można spotkać ludzi, którzy żyją podobnymi wartościami na co dzień.

A co trzeba zrobić, żeby się przyłączyć?

Przede wszystkim wejść na naszą stronę www.solido.pl – tam są wszystkie aktualne informacje o spotkaniach etc. Na stronie są też listy dyskusyjne. Soli Deo ma również swój pokój w budynku samorządu w Kampusie Głównym UW – numer 13E. Najlepiej chyba zapisać się na tzw. newsletter – jeśli ktoś poda swój adres internetowy, będzie co tydzień dostawał e-mail z informacją, gdzie się odbywają spotkania.

UWAGA! Autorka tego artykułu była na dwóch obozach SD (2005, 2006) i potwierdza, że wszystkie informacje podane przez rozmówczynię zgadzają się z rzeczywistością. Co gorsza, są zdjęcia. Jeśli nadal ktoś nie wierzy, że na obozach bezalkoholowych może być zarząbiście, pozostaje tylko przekonać się samemu.

MagdaLENA Gotowicka
polonistka



Starcie profesorów

czyli historia wojny lustracyjnej na Wydziale Historycznym

Przez ostatnie dwa lata działy się na Uniwersytecie rzeczy dziwne. Pisano liczne listy otwarte, obrażano się, zmieniano poglądy, jedni nie podawali drugim rąk, niektórzy podejrzewali się o zbytnią gadatliwość przed laty...

Ogarnęła nas wszystkich lustracyjna gorączka. Nie oszczędziła nikogo. Nawet najbardziej zobojętniałe politycznie jednostki czuły potrzebę zajęcia stanowiska. A pytanie było niewdzięczne. Kulminacyjną i najbardziej efektywną potyczką w lustracyjnej wojnie były dwa posiedzenia Rady Wydziału Historycznego, które odbyły się pod koniec zeszłego roku akademickiego.

Dużo się działo. Wykrystalizowały się trzy frakcje – „nieprzejednanych”, „apolitycznych” i „miłosiernych”. Pierwsi, reprezentowani głównie przez mediewistów i nowożytników, przeświadczeni byli

Wzywam pana do pozostania na sali i poważnego traktowania obowiązków członka Rady Wydziału!

o niezwykle rozbudowaniu siatki agenturalnej na Uniwersytecie. Do boju prowadził ich specjalista od średniowiecza, prof. Roman Michałowski. Reprezentanci frakcji zgłosili projekt uchwały, wedle której Rada miała stwierdzić, że nie życzy sobie w swoim gronie ludzi „uwikłanych”. Niektórzy zaczęli wyciągać z tego logiczny wniosek, że na sali takowi są obecni. Wzbudziło to kategorię protest „apolitycznych” i „miłosiernych”.

Grupie „apolitycznych” przewodził prof. Benedetto Bravo (dla nie wtajemniczonych: wybitny historyk starożytności, absolwent Scuola Normale Superiore, kiedyś przyjechał do Polski, zakochał się i został), podchodzący do całej sprawy z pewnym naturalnym dla cudzoziemca dystansem. „Apolityczni” argumentowali, że istotnie niektórzy próbują wykorzystać lustrację do osobistych porachunków, ale lepiej nie zajmować stanowiska, gdyż z natury rzeczy będzie ono polityczne. A apolityczność Uniwersytetu jest dobrem najwyższym. „Miłosierni” pod batutą prof. Włodzimiera Lengauera (dziekana Wydziału Historycznego, starożytnika) dowodzili, że każdego można złamać, archiwa IPN są pełne fałszywek, a niektórzy koledzy próbują odreagowywać swoje kompleksy z czasów, gdy nie wykazywali się dużym bohaterstwem.

Padły liczne argumenty ad personam – a to X mówił o Y, że ten jest krępaczem, a to niektórzy opowiadali, że wstyd im, że zasiadają

w broniącej agentów Radzie, inni z kolei uważali się, że gdyby byli młodszy, to już dawno zwolniliby się z tak moralnie zdegenerowanego Uniwersytetu. Niektórzy uciekali się do wątpliwej skuteczności szantażu: – Proszę Państwa, ja mam oferty z zagranicznych ośrodków, jeśli ta ustawa wejdzie, to ja mogę wyjechać.

Ostatecznie głosowanie wygrali „miłosierni” i to ich potępiający lustrację i wątpiący w kompetencje badawcze pracowników IPN tekst uchwały poszedł w świat. Następnego dnia gazety doniosły, że Wydział Historyczny UW potępia lustrację i stwierdza, że warsztat badawczy IPN-owców jest dość skąpy. Ale stało się to za sprawą niewielkiej większości głosów. W trakcie obrad wytworzyło się jeszcze jedno ugrupowanie – „zbrzydzone”. Po kilku godzinach inwektyw, złośliwości i wzajemnego obrażania część profesorów zaczęła wychodzić z sali.

– Wzywam pana do pozostania na sali i poważnego traktowania obowiązków członka Rady Wydziału! – zawołał dziekan Lengauer za wychodzącym prof. Ziółkowskim. Bez skutku.

Obecni na Radzie donosili, że atmosfera była bulgocząca. W lustracyjnym pojedynku zabrakło tego, co na uniwersytecie ważne – dobrego smaku... Dziś kurz opadł, rząd zdaje się nawoływać do miłości powszechnej, a niedawni lustracyjni wojownicy muszą żyć na jednym wydziale i mijać się na korytarzach. Niektórzy podrzucają studentom pikantne szczegóły z posiedzenia Rady ze szczególnym uwzględnieniem swoich oponentów. Cynicy, a może realisci mówią, że problem rozwiąże biologia... Już niebawem.

Witold Zakrzewski
historia i kulturoznawstwo



Przyjechali milicjanci...

Milicjanci zawładnęli Traktem, ale tylko na jeden dzień. 13 grudnia ludzie powołani przez fundację Odpowiedzialność Obywatelska stawili się przy koksowniku i pozowali przy transporterach i sukach. Z początku mieli duże opory przed palowaniem, ale w końcu dali się przekonać. Dziewczynie były w stanie dać tylko klapsa.

– Śmiesznie śmiesznie, ale jak się tym dostało, to bolało nie na żarty! – powiedział wściekły pan w kowbojskim kapeluszu.



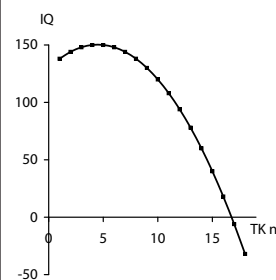
Naczelnicy idiotycje

Na podstawie empirycznych badań dowiedziono indukcyjnie, że IQ Naczela zachowuje się zgodnie z następującym wzorem:

$$IQ_{Nacz} = -n^2 + 9n + 130$$

gdzie zmienna n odpowiada kolejnym numerom Traktora

Oznacza to, że choć z pierwszymi numerami obserwowaliśmy zadowalający wzrost, od pewnego czasu poziom inteligencji Naczela gwałtownie spada – co widać na wykresie oraz na załączonym zdjęciu. Wraz z 17. numerem umysł jego pogwałci wielce i osiągnie ujemny współczynnik IQ!



W imię obrony porządku świata przed tą anomalią należy więc nie dopuścić do wydania najbliższego numeru. Jednak żeby to osiągnąć, trzeba by chyba Naczela zastrzelić. Na szczęście tak się składa, że do tego zadania mamy dwóch odpowiednich kandydatów...

Eee tam, indukcyjnie niezupełną to można o Kanta dupę potłuc!

– David Hume



Mufmi Mirela

czyli o teatrze i tancerce

Taniec to jej prawdziwa i, co ważne, odwzajemniona miłość. Tańczyła od zawsze, ale nie od razu miłość tę odkryła.

Jest wielu ciekawych ludzi, dla których studia są jedynie dodatkiem do ich bogatego życia, a rozwojowi umysłu nie przeszkadza pasja, której oddają się bez reszty. Jedną z takich osób jest Mirela, studentka psychologii UW oddana tańcowi współczesnemu, który do niedawna u ludzi niezwiązanych z tańcem nie budził raczej trafnych kojarzeń, a często błędnie utożsamiany był z tańcem nowoczesnym.

Tańczyła od zawsze. Na początku była do tańca zmuszona – została zapisana na taniec towarzyski. Wybór okazał się nietrafiony. Mimo to postanowiła szukać dalej. Otarła się o taniec nowoczesny, tańczyła hip-hop i jazz. Przez jakiś czas była związana z zespołem Queest. I tak poznawała smak poświęcenia się sztuce czy miłości, między innymi tańcząc na meczach Polonii.

Kilka lat temu Mirela trafiła do Bytomia na Konferencję Tańca Współczesnego. Słuchając dyskusji, wystąpień, uczestnicząc w warsztatach tanecznych oraz oglądając spektakle teatrów tańca, moja bohaterka poczuła, że wreszcie znalazła coś dla siebie, że chciałaby się wyrażać właśnie poprzez teatr tańca.



Tylko jak w Warszawie znaleźć coś takiego? Teraz, kiedy media wypromowały taniec, każdy chce tańczyć, ale parę lat temu to wcale nie było takie oczywiste. Tym bardziej, że teatry tańca od zawsze tworzyły scenę off-ową.

Mirela często googluje słowa, które lubi. Taki mały odchyl. Pewnego razu wpisała w wyszukiwarkę słowo dystans i w taki oto sposób dowiedziała się o istnieniu teatru tańca o tej nazwie.

Z Teatru Tańca Dystans wyrósł Mufmi Teatr Tańca, z którym Mirela jest związana już od trzech lat. Założycielką obu teatrów jest Anna Piotrowska, która od 1995 roku stworzyła już dwadzieścia osiem choreografii przedstawień teatru tańca. Ideą Teatru jest pokazanie, że poprzez ciało, najdrobniejszy gest, można wyrazić tak naprawdę wszystko. Nie tylko nastrój czy emocje, ale również swoje refleksje, swoje postrzeganie rzeczywistości.

Spektakle Anny Piotrowskiej bywają absurdalne i surrealistyczne. Moim ulubionym jest spektakl inspirowany poezją Rolanda Topora pt. „Cztery Róże dla Luccienne” – urzekające formą studium kobiecości, ukazujące złożoność i odmienność różnych, czasem wręcz demonicznych, lecz bardzo samotnych kobiet. Ostatnio ukazały się cztery premiery: „Papa papu”, „Gemini after” – przedstawiające dialog ciał sióstr bliźniaczek, „Coco-klimt” oraz „Bóg 8. dnia”, którego postaci oraz motywy zaczerpnięte zostały z obrazów H. Magritte’a.

Dla pani reżyser najważniejsze jest nawiązanie kontaktu z widownią, pobudzenie widza, zmuszenie go do myślenia, wprowadzenie w jakiś stan emocjonalny, którego być może na co dzień nie doświadcza, czy nawet rozbawienie.

W ramach Teatru Mufmi prowadzone są warsztaty, podczas których można się nauczyć techniki, popracować nad improwizacją kontaktu czy po prostu potańczyć – oczywiście taniec współczesny. Odbывая się one cztery razy w tygodniu. Tak naprawdę każdy może na nie przyjść, ale lepiej mieć już jakieś doświadczenie. Nad samymi spektaklami nie pracuje się w ramach regularnych zajęć. Trzeba na nie poświęcić dodatkowy czas.

Ale dla Mireli to nie jest problem. Taniec to dla niej warunek konieczny do życia. O ile nie ma innych rzeczy do zrobienia, Mirela zajęć nie opuści. Jako racjonalistka nie dodaje temu, co robi metafizycznej otoczki. Tańczy, bo to kocha, bo jest to rodzaj terapii. Bo jej zdaniem taniec to najlepszy sposób, by się wypowiedzieć.

Mufmi organizuje także festiwal teatrów tańca „Polemiki”. W tym roku, w czerwcu, odbędzie się już ósma edycja.

www.eferte.pl

Marta Józwin
socjologia

Orient na wschód

sonda z serii: ulubione miejsca

Bufet, w którym mieszczą się Chiny, Japonia i Indie. Kamasutra na ścianach. Nielegalne architektonicznie koedukacyjne toalety. Sala z przesuwanymi ścianami. Odpadające sufity.

...takie rzeczy to tylko na orientalistyce.

Jakub Urbański, sinologia

Lubię ławkę pod audimaksem (w audimaksie uczą się sinolodzy), bo można na niej po kolejnej nieprzespanej nocy spocząć w pozycji horyzontalnej i zmieścić oprócz siebie jeszcze kurtkę, plecak i dwa duże podręczniki do chińskiego.



Kasia, japonistyka

Bar Afrezja jest super. Ma trzy sale, jedna jest chińska, druga japońska, trzecia indyjska. Prawie każdy orientalista ma tam swój kącik.



Olek, asyriologia i hetytologia

W barze Afrezja są ciekawe scenki z Kamasutry. Ja się bardzo dobrze czuję w naszej zakładowej salce, bo jest w niej miło i przytulnie.



Kasia, indologia

Fajna jest ławeczka przy automacie do kawy – to nasze miejsce bezproduktywnego spędzania czasu. Spore emocje wzbudza sala z przesuwanymi ścianami. Nie cierpię kibli, bo śmierdzą i są absurdalnie małe i wąskie. Mój znajomy architekt powiedział, że są architektonicznie nielegalne.



Scarlett, ogrodnictwo na SGGW, na orientalistyce uczy się tamilskiego

W porównaniu z tą ciaśniętką orientalistyką nasza SGGW to wielka baza kosmiczna!



Ania Iskra, sinologia

Audimaks kryje wiele bezsensownych detali. Na piętrze sinologów jest na przykład ślepy zaułek, pusty fragment korytarza, w którym nie ma nic oprócz ścian. No nie, że absurd?



Tomek, japonistyka

Mamy tutaj absurdalnie mało miejsca. Biblioteka nie mieści się w bibliotece, więc część książek jest schowana w salach wykładowych. W trakcie zajęć oczywiście nie można z tych książek korzystać. Ale poza tym jest OK.



Olga, japonistyka

Ostatnio nas nawet odnowili, ale niestety tylko z zewnątrz. Jakby ktoś podłożył ogień w środku, wszystko by poszło jak zapalka. I ciasno! Studenci siadają często na podłodze, bo nawet krzesła jest za mało.



Gosia, koleżanka Tomka i Olgi

Lubię freski. Chińskie są fajne. Zboczone.

Paulina, sinologia

W audimaksie nie ma zbyt wielu ciekawych zdjęć. Można sobie siąść na kolanach Mickiewiczowi, o! Moja grupa jednak woli miejsce pod schodami.



Marta Czermazowicz
polonistyka, kulturoznawstwo

Unplugged Orchestra

czyli o tym, że trzeba się skrzyknąć i działać

Naczelnik kazał zacząć per „Jestem Justynka”. Pozwólcie, że resztę powiem samodzielnie. „Współzałożyłam” Unplugged Orchestra – owoc miłości mojej do dyrygenta i dyrygenta do muzyki. Michał Śmigieński, zapamiętajcie. I począł się we mnie instynkt menedżerski.

Jesteśmy na razie pospolitym ruszeniem, ale widać ferment w biznesie, bo planujemy zarejestrować działalność i walczyć o sponsorów, czyli o regularny rozwój. Teraz rozwijamy się bujnie, choć w klimacie licznych turbulencji. Nic nas nie trzyma razem, jednak co sobotę spora ekipa zrywa się o świcie i jedzie na wielogodzinną próbę. Było już kilkanaście koncertów, następne w przygotowaniu.

Skład mamy zróżnicowany. Część osób skończyła tylko pierwszy stopień szkoły muzycznej, część zawiesiła się na drugim lub jeszcze nie dojrzała do dyplomu, ale coraz częściej trafiają się studenci akademii muzycznych. Poziom idzie w górę, w czym i UW ma swój udział. Zapraszam na podstronę „członkowie”, niektórzy znajdują tam zdjęcia kolegów z roku. I jest jeszcze Rysiek z filozofii (imię oryginalne: Michał, nazwisko pospolite: Woźniak), który okazał niespotykaną uczynność i zrobił nową stronę.

A teraz moja etatowa odpowiedź na pytanie „Na czym grasz?”. Nie gram, lecz karmię muzyków i donoszę im napoje. Kiedy proszą o cukierki, szukam resztek pieniędzy w portfelu wypchanym rachunkami ze spożywczego, aby wydać ostatnie grosze na glukozę dla piskląt donośnie kwilących za pulpitemi. Zbiór muzyków rośnie w siłę wraz z kolejnymi porcjami szybko wykorzystywanej cukrzanej energii, a to budzi we mnie platońskie przekonanie o realnym istnieniu zbiorów. Nadmienię nieśmiało, że mam jeszcze masę poważnej pracy: organizowanie koncertów, kontakty z kompozytorami, drukowanie nut o północy itp.

O oczywistościach krótko: orkiestra zajmuje się graniem przeważnie orkiestrowych utworów. Niech tam czasem muzyka wychynie zza smyczków, albo chociaż pojawi się szansa na dobre granie, a już usprawiedliwiam jej istnienie. Nawet najsłynniejsze zespoły świata pracowały na początku na kredyt. Kolosalny. Mówię o WSZYSTKIM: pensjach dla sztabu specjalistów, sprzęcie, sali, nutach, tantiemach itd. Koniec oczywistości. My jesteśmy, ech, niskobudżetowi. Polecam się jako ekspert od utrzymywania orkiestr z kieszonkowego, z pominięciem płacenia pensji, przez co zresztą muszę poczekać na awans na półkę „zespoły półprofesjonalne”.

Czas na apel. Skoro już coś organizuję, mogę organizować więcej. Nasza orkiestra będzie grupą społecznie zaangażowaną. Rzekłam. Na razie pomagamy siostrze naszej oboistki – Patrycji, która jest chora na stwardnienie rozsiane. W zeszłym roku razem ze SKU [wydawca Traktora – przyp. red.] zorganizowaliśmy na jej rzecz koncert charytatywny. Niedawno zebraliśmy prace studentów i absolwentów ASP z różnych miejsc w Polsce i jak tylko dopniemy wszystko na ostatni guzik, startujemy z aukcją on-line na portalu eBay aby zebrać pieniądze na leczenie Patrycji. Zapraszam do przyłączenia się do tej inicjatywy.

Trzeba się skrzyknąć i działać!



Justyna Lewandowska
filozofia

Wszystkie osoby, które chciałyby nas wesprzeć, proszę o kontakt z Kamilem Frymarkiem: k.frymark@unplugged-orchestra.com. Pomysły:

1. pomysł najprostszy: wylicytowanie pracy/prac w odpowiednim czasie
 2. pomysł niewiele bardziej skomplikowany: umieszczenie banera reklamującego aukcję i stanowiącego wejście bezpośrednie na nią (eBay) na różnych stronach internetowych, do których ma się jakieś prawa lub dostęp tylko poprzez kołosiostwo
 3. pomysł VIP-owski: pośredniczenie w kontakcie z mediami lub przekonanie bogaczy do kupienia prac za cenę znacznie wyższą niż wywoławcza (na razie jej nie podajemy).
 4. pomysł dla kreatywnych: wymyślenie czegoś super
- W tej czy w innych sprawach można też pisać do mnie: orchestra@unplugged-orchestra.com. Liczę na odzew!



Piotrek



Kamil

Wspólne elementy UW i UO

Filozofia: Karolina Krzyżanowska (ex), Róża Bylicka (ex), Katarzyna Gajewska (ex), Piotr Kaźmierczak (skrzypce), Rysiek (strona); stosunki międzynarodowe: Kamil Frymark (sekcja organizacyjna); historia: Barbara Borkowicz (skrzypce).

nowa strona: www.unplugged-orchestra.com



Jasno. Zimno. Ciemno

czyli o studiowaniu na dalekiej północy

6 sierpnia 2007 roku, godzina 21:20. Wsiadam z samolotu na lotnisku w Tromsø (69°40'N 18°56'E). Słońce jeszcze nie zaszło. Zrobi to dopiero za dwie godziny, by po kolejnych trzech znowu pojawić się nad horyzontem. Jeszcze przez kilka następnych tygodni noc będzie tylko umowną nazwą tej części doby, która gdzieś daleko stąd, na południu, charakteryzuje się rozgwieżdżonym niebem i koniecznością używania sztucznego światła.

Tak zaczyna się semestr Erasmusa w Norwegii, pięć miesięcy studiów na „najbardziej północnym uniwersytecie świata¹”. Tromsø ma też najbardziej północny browar, katedrę, orkiestrę symfoniczną, ogród botaniczny, etc., etc., a ze swojego położenia miasto zrobiło turystyczną atrakcję. Dodatkowym atutem jest jego usytuowanie na wyspie pośród malowniczych gór, co zapewniło mi widoki zapierające dech w piersiach jeszcze zanim koła samolotu dotknęły pasa startowego.

Do września zdążyłem się przyzwyczaić i wreszcie zacząłem domykać usta, dotąd rozdziawione zachwytem.

Norwegowie zgotowali nam wspaniałe przyjęcie. Podczas doskonale zorganizowanego tygodnia orientacji i integracji studentów zagranicznych zostaliśmy wprowadzeni we wszystkie zawiłości związane z funkcjonowaniem uniwersytetu. Udzielono nam też wyczerpujących informacji na temat formalności, jakich trzeba było dopełnić, by dostać pozwolenie na pracę, założyć konto w banku. Zwiedziliśmy kampus, centrum miasta, miejskie muzeum. Działające przy uniwersytecie „Student Counselling Centre” udzielało natomiast pomocy w sprawach dotyczących codziennego życia przez cały semestr, organizując pchle targi z używanym sprzętem kuchennym, szkolenia w temacie radzenia sobie z zimową depresją, służąc radą przy szukaniu pracy.

Pytany po powrocie o „korzyści naukowe” z tego przedsięwzięcia, wskazywałem przede wszystkim na stosunek ilości punktów ECTS do liczby zajęć. 30 punktów – 7 godzin tygodniowo. Dlatego Tromsø polecałbym przede wszystkim tym, którzy hołdują zasadzie „im mniej nauki, tym lepiej”. Gdyby nie kurs norweskiego, zajęcia miałbym dwa razy w tygodniu.

Wydałoby się więc, że nie mając zbyt wiele do roboty, wszyscy erasmusi oddawali się beztroskiemu życiu studenckiemu, co jednak nie jest prawdą. Zaporowe ceny alkoholu, biletów do kina, na koncerty czy wstęp do klubów umożliwiały nieskrępowaną zabawę tylko studentom z najbogatszych krajów Europy Zachodniej. A z imprezami w domach też był problem – Norwegowie nie są do nich przyzwyczajeni. Próby zorganizowania domówki w akademiku dwa razy skończyły się interwencją policji wezwanej przez sąsiadów zamieszkujących domy postawione zbyt blisko studenckiego osiedla. Natomiast moi norwescy znajomi z korytarza, jeśli bawili się u siebie, zamykali się w pokojach i po cichu pili wódkę. Tylko znajdowane następnego dnia na korytarzu woniące płamy zdradzały wydarzenia poprzedniej nocy. Nie znaczy to oczywiście, że Polacy (a było nas w Tromsø trzynaścioro) zaszyli się w pokojach. Walczyliśmy „z systemem” między innymi robiąc wino domowym sposobem i zobowiązując wszystkich odwiedzających do dostarczania „zapasów”.

We wrześniu początkowa jasność zaczęła szybko ustępować i po równonocy dzień skracał się znacznie szybciej niż w domu. Od początku nie było ciepło, ale pod koniec września, kiedy w Polsce można jeszcze pojechać na żagle lub w góry, w Tromsø zaczęliśmy nosić kurtki. Zaczęło padać i wkrótce przyzwyczaiłem się do deszczu na tyle, że gdy padało tak, że w Polsce uznałbym to za ulewę, nie



wyciągałem nawet parasola. Obserwując swoje reakcje przestałem się też dziwić Norwegom, którzy z lejącej się z nieba wody zupełnie nie sobie nie robią.

Norwegia, a tym bardziej jej północna część, jest krajem twardych ludzi. Zimą, kiedy lód skądś ulice i chodniki, nikt nie posypywał ich solą – studenci kupowali specjalne kolce zakładane na buty i opony rowerowe, by nie rezygnować z normalnych sposobów poruszania się po mieście i aktywności sportowej – widziałem ludzi uprawiających jogging w środku zimy, biegających po nawierzchni, której nic nie różniło od lodowiska.

O ile chłody w Tromsø zaczęły się wcześniej, o tyle temperatura spadała bardzo powoli. Dziwić może fakt, że najniższa temperatura zarejestrowana kiedykolwiek w tym miejscu wynosi –18 stopni Celsjusza, mnie natomiast nie zdarzyło się doświadczyć mniej niż –5. Dodatkowym szokiem był lot powrotny przez Oslo – 15 grudnia wsiadłem do samolotu w temperaturze 6 stopni, by dwie godziny później, prawie tysiąc kilometrów bardziej na południe wystawić nos na sześciostopniowy mróz. Tę wspaniałą aurę zapewnia miastu odgałęzienie ciepłego Prądu Północnoatlantyckiego.

Na początku listopada dni skróciły się do pięciu godzin, a nocne niebo zaczęło od czasu do czasu rozbłyskać zielonym światłem zorzy polarnej (oczywiście tylko pod warunkiem, że akurat nie było chmur – a te zakrywały niebo prawie bez przerwy). Spragnionych niesamowitych wrażeń zachęcam do odwiedzenia północnej Norwegii zimą, a w pierwszej kolejności do odwiedzenia strony Bjørna Jørgensena – najlepszego podobno fotografa *aurora borealis* (www.arcticphoto.no).

Wkrótce to dzień stał się umowną częścią doby, a niektórzy z moich znajomych zaczęli odczuwać problemy związane z brakiem światła słonecznego. Najgorszy znany mi przypadek: pięć dni bez zmrúżenia oka. Terapia lampami słonecznymi (emitującymi światło zawierające wszystkie barwy) pomagała w przywróceniu równowagi. Równoległe z nocą polarną, która nadeszła formalnie 27 listopada, zaczęła się sesja, więc rytm czuwania większości z nas i tak był zaburzony.

Między dziesiątą a trzynastą niebo przechodziło od przedświt do zmierzchu omijając dzień, a mroczne sylwetki otaczających nas gór podświetlone wszystkimi odcieniami czerwonego i pomarańczowego raz jeszcze przypominały o majestacie norweskiej przyrody. Egzaminy okazały się niestety więcej niż formalnością, ale dwa tygodnie intensywnej nauki nie pozwoliły wpaść w zimową depresję i przetrwać jakoś *ciemny czas* (norweskie słowo określające noc polarną to *mørketid*).

Tylko tu w Polsce nikt nie może zrozumieć, jak siedmiodziesiętny dzień może być dla kogokolwiek luksusem.

Oskar Żyndul

Maurycem czasem zwany

